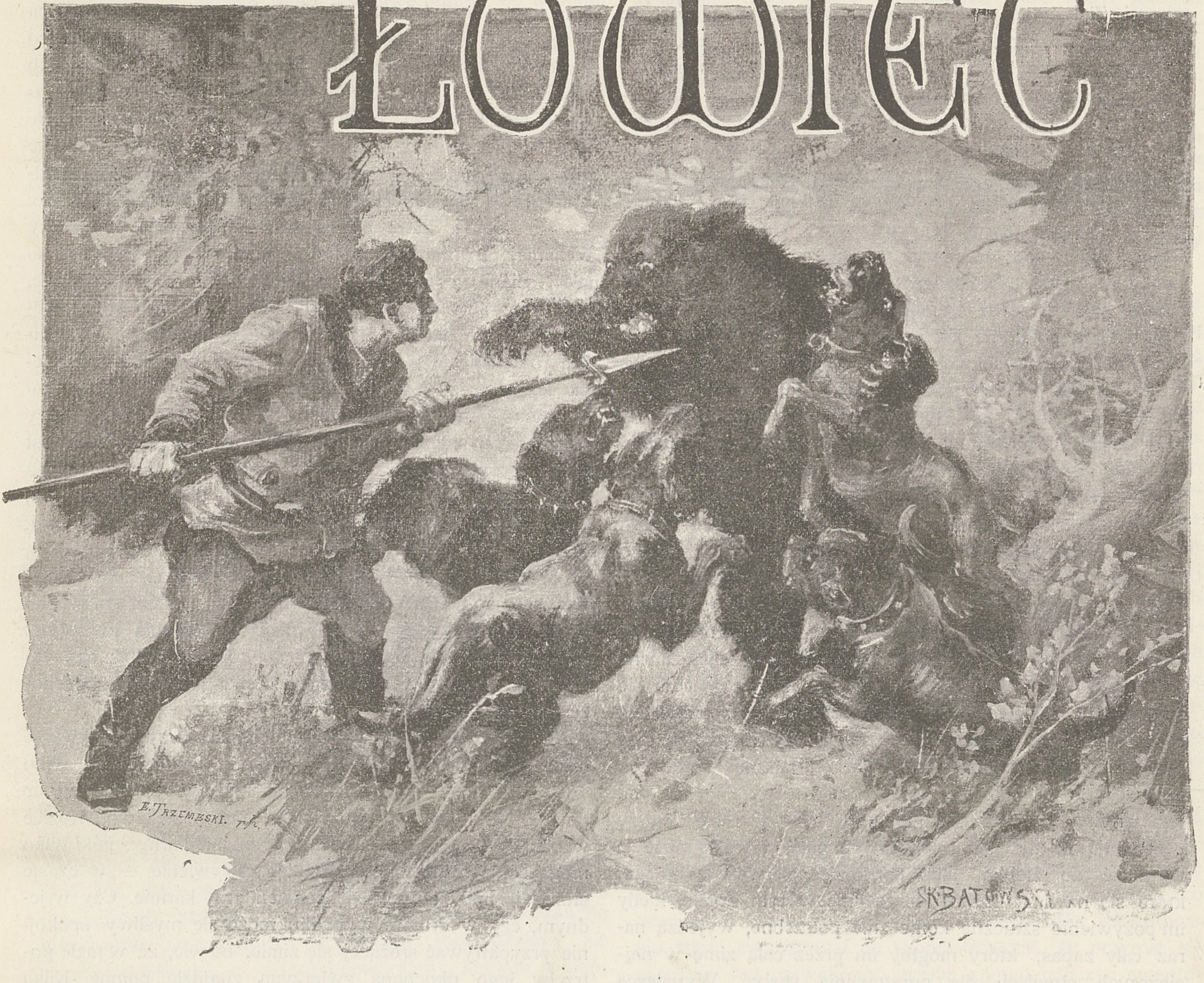
Nr. 20. Lwów, 15. października 1900. Rok XXIII.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Z TATR.

(Dokończenie).

— Jeżeli się zatem urządzenie drabinek z karmą ukończy zaraz po zebraniu trawy, nie będą one budzić nieufności kozic. — Gdy śniegi spadną, kozice będą przechodziły jak zwykle swoją ścieżką i nie będą się dawały prosić do korzystania ze smacznej i łatwo dającej się dosięgnąć strawy. Można także naokoło pnia urządzić rodzaj drabinki. Zwieszające się gałęzie, z których nie należy odzierać kory, przybija się do pnia i obwiązuje się je jeszcze dwoma lub trzema powrósłami z gałązek. Wtedy można wygiąć te gałęzie na zewnątrz, tak, że będą one mniej więcej pod kątem 50⁰ od pnia odstawały. Umocowawszy to wszystko silnie, nakłada się siana w ten rodzaj tryzubka, dosyć naturalnie i nie odstraszająco wyglądającego. Zjedzone od spodu siano zastępuje siano osuwające się z warstw wyższych. Można robić także rodzaj sztucznych kopic, które jednak w ten sposób są urządzone, że ziemi nie dosięgają i że wiatr tak łatwo siana rozrzucić nie może. Wbija się w tym celu bardzo silnie w ziemię pal, umacnia się go podpórkami, na których głowie umieszcza się okrągłą deszczkę, z otworem na główny pal. Deszczkę tę, na jej linii obwodu zaopatruje się w kołki, nachylone do niej mniej więcej pod kątem 50⁰, siano umieszcza się w powstałym w ten sposób koszu, układa je silnie naokoło pala, poczem przykrywa się je dachem z kory i w ten sposób powstaje żerowisko dla kozic, bardzo podobne do zwykłej kopy siana, a mające

tę korzyść że siano nie dotyka ziemi i że wiatr go nie roznosi. Złą stroną tego urządzenia jest zaś to, że deszcze łatwo siano to ługują i że część jego idzie z tego powodu na marne — ale robi się też ten rodzaj urządzenia tylko tam, gdzie nie ma wystających, przydatnych do urządzenia wyżej opisanego skał, lub osobno stojących drzew. Nie jest ono zresztą kosztowne. — Inną metodę żywienia kozic w czasie zimy, widziałem, mówi dalej Keller, w pewnym większym prywatnym rewirze, który sławny jest z licznego stanu tej zwierzyny. Umieszczają tam karmę także pod drzewami, ale są tam urządzone tak zwane w Alpach „Lecktröge“, w których zwykłym kozom podają sól. Drzewo cieńsze obciosują z jednej strony i wygłębiają podobnie jak rynnę — albo też w grubszem wyciosują poprostu czworoboczne wgłębienia i kładą w nie w jesieni tak zwane gałki z karmą. Te rynienki muszą jednak oczywiście tak być umieszczone, żeby deszcz do nich dostać się nie mógł, zatem pod wystającemi skałami lub pod wykrotami, stanowiącemi rodzaj pieczar. Gałki robi się w sposób następujący: Dobry owies górski miele się nie odłączając jednak mąki od otręb — poczem z tego produktu robi się gęste ciasto z pomocą wody i soli. Ciasto to należy dobrze przemieszać i sformować z niego gałki. Według doświadczeń owego właściciela polowania, dobrze jest, gdy gałki te zamarzną zaraz po rozłożeniu ich po żłobkach. Gdy bowiem kozice, zmuszone potrzebą, zaczną je w zimie lizać, a zachęca je do tego sól w gałkach się znajdująca, znajdą zawsze dość pożywnej substancyi dla utrzymania ich przy życiu, a nie mogą roztrwonić tego zapasu naraz. Jeżeli gałki nie zamarzną zaraz po rozdzieleniu ich po korytkach, wtedy rozpadają się pod wpływem działania wilgotnego powietrza, w razie pogody wysychają te kawałki rozsypanych gałek i wiatr może je wyrzucić ze żłobka, albo też kozice pierwsze z brzegu, które się nawiną, nawet jeszcze nie w tym czasie, kiedy im pożywienie sztuczne koniecznie potrzebne, wyjedzą naraz cały zapas, który mógłby im przez całą zimę w najcięższych chwilach dla poratowania służyć. Wynalazca tego sposobu twierdzi, iż dziesięcioletnie doświadczenia dowiodły, że jest on praktycznym. Sam nie próbowałem tego sposobu, nie mogę o nim zatem wydawać wyroku, ale wiem dobrze, z naocznego przekonania się, że gałki te liżą kozice bardzo chętnie, szczególniej wtedy, jeżeli zawierają one dużo soli.

— Jeżeli się w ogóle coś dla zwierzyny w tym kierunku robi, to powinno się przedewszystkiem poznać się jak najdokładniej z przyzwyczajeniami zwierzyny, z właściwościami rewiru itp. Trzeba znać dokładnie miejsca, w których zwierzyna w zimie przebywa i nie urządzać żerowisk zimowych zanadto wysoko w górach, bo tam służyć one zwierzynie nie mogą i choć nie będą pozbawione pożytku, chybią jednak właściwego celu. Gdy się już wykazało dokładnie, gdzie są staje zimowe zwierzyny, należy rozpatrzyć się należycie, czy nie są one narażone na niebezpieczeństwo lawiny — wtedy nie można tam urządzać żerowisk, bo narażałoby się zwierzynę na ciągłe niebezpieczeństwo i więcej by się jej szkodziło niż pomagało. Źle byłyby także wybrane miejsca, w bliskości których znajdują się siklawy, rozlewające się szerzej po kamieniach. Chociaż kozica umie przechodzić przez bardzo śliskie miejsca, jednakże czyni to tylko z konieczności i unikałaby karmy, jeżeliby musiała się ciągle narażać na niebezpieczeństwo upadku ze śliskiej skały. Nie należy także dawać pokarmu w miejscach, które są narażone na północne wiatry i burze. Kozice niechętnie w takie miejsca uczęszczają. Najlepiej umieszczać pożywienie w niebardzo wysoko leżących dolinkach, zwróconych na południe lub wschód. Tutaj jest kozicom najlepiej i nie wychodzą prawie z takich miejsc, jeżeli już dobrze się wywiedzą, gdzie jest dla nich karma, i jeżeli do niej i do miejsca w ogóle nabiorą zaufania. A przecież w górach takich miejsc, odpowiednich dla umieszczania karmy, braknąć nie powinno.

— Siano, które ma służyć do żywienia zwierzyny w zimie, powinno być brane z suchych, słonecznych stoków. Siano z mokradeł górskich, albo z tych miejsc, które się silnie nawozi, bezwarunkowo do żywienia zwierzyny się nie nadaje. Siano z mchem zmieszane sprowadza rozwolnienie u zwierzyny, a co za tem idzie, osłabienie jej takie, że niektóre sztuki mu ulegają. Przy przygotowywaniu siana należy zachowywać tę ostrożność, żeby było ono w należytym czasie zebrane. Najlepszą porą jest druga połowa sierpnia. Dobrze jest skopić odrazu wysuszone siano. Gdy na nie na pokosach deszcz długo pada, ługuje je, wskutek czego traci ono wiele na pożywności. Niestety nie można zamawiać w górach pogody takiej, jakiej się pragnie. Następnie należy uważać, aby siano przy układaniu go w drabinki było już całkiem suche, bo siano na pół wysuszone pleśnieje i jest dla zwierzyny szkodliwe. Kozice dostają z niego kolek, utrudnia ono żucie i trawienie, tak, że niektóre sztuki giną nawet po spożyciu takiego siana.

— Powinno się zatem powierzać przygotowywanie siana dla zwierzyny ludziom godnym zaufania, bo tylko wtedy, gdy się zwierzynie jak najlepszego gatunku karmę podaje, robi się jej prawdziwe dobrodziejstwo. Kozice w zimach lżejszych nie ruszą tygodniami karmy, póki tylko mogą sobie same znaleść zwykłe pożywienie — w czasie srószej zimy zjawiają się codzień przy karmie. Czy w jednym, czy w drugim wypadku może się myśliwy spokojnie przypatrywać srożącej się zimie, bo wie, że w razie potrzeby jego ukochana zwierzyna znajdzie pomoc. Kilka złotych, które kosztowało urządzenie takich żerowisk, jak je opisaliśmy, nie jest z pewnością za drogo zapłacone za to uczucie.

Nie bez kozery tak dokładnie powtarzam za Kellerem wszystkie te przepisy o żywieniu kozic przez zimę, choć pozornie jest to bezprzedmiotowe, skoro nikt nie ma u nas w kraju i w całej Polsce prawa strzelać do kozic... a zatem nie ma obowiązku o nich pamiętać. Otóż na wyprowadzanie takich konsekwencyi z obowiązujących na razie przepisów ustawy, która ze względu na takie radykalne postanowienie co do ochrony dwóch ginących już gatunków fauny tatrzańskiej, jest chwałą ówczesnego Sejmu, zupełnie nie mógłbym się zgodzić. Do opieki nad kozicą obowiązani są przedewszystkiem właściciele terenów, na których kozice żyją. Jeżeli zaś właściciele tych terenów — nie mam tu oczywiście żadnej osoby na myśli, lecz traktuję tę sprawę akademicznie — mogliby przed tym obowiązkiem się uchylić pod tym pozorem, że skoro ustawa nie dozwala im prawa polowania w tym kierunku eksploatować, to i nie może nikt nakładać na nich ciężarów z utrzymaniem chronionej zwierzyny połączonych, w takim razie spadałby na kraj, który przez reprezentacyę swoją uchwalił chronić od zagłady ozdobę gór naszych, obowiązek pamiętania o tem, żeby ona rzeczywiście prosperowała. Kraj jednak może powiedzieć, że ochrony tej użycza za pomocą ustawy

i egzekucyi tej ustawy przez właściwe organa — w takim razie widzę już tylko jedną instytucyę, którąby się mogła i powinna zająć troską o kozice, a tą jest nasze Towarzystwo łowieckie. Prawdopodobnie nie usunęłoby się ono od tego moralnego obowiązku, gdyby składane przez myśliwych daniny w postaci opłat za karty łowieckie choć w części były mu do dyspozycyi oddane. Póki to się nie stanie, nie stać Towarzystwo na takie wydatki, choćby uznawało je za usprawiedliwione i potrzebne.

Sądzę jednak, że i w innej formie możnaby kozicom zapewnić prawidłowy rozwój, któryby w końcu zezwolił na zmianę ustawy i na zaliczenie kozicy do zwierząt łownych, oczywiście z jak największemi zastrzeżeniami, że wykonywanie polowania na kozice odbywać się będzie w całem tego słowa znaczeniu *lege artis*.

Powinnyby się tworzyć towarzystwa myśliwskie, któreby postarały się o oddanie im większych obszarów tatrzańskich i wspólnemi siłami, a więc z większym ich zasobem, pracę nad ułatwianiem rozmnożenia się kozic rozpoczęły. Tatry niewielu liczą właścicieli, ale to nie powinno być przeszkodą, bo może i właściciele, którzy sami nie opiekują się kozicami, przystąpiliby do takiego towarzystwa na ich terenach utworzonych, nie mogąc lub nie chcąc czynić większych nakładów na opiekę nad zwierzyną, a więc na utrzymywanie licznej i dobrej straży, na tępienie drapieżników, na karmienie zwierzyny itp. Towarzystwo takie nie potrzebowałoby wcale rezygnować z wykonywania prawa polowania, choć nie na kozicę specyalnie, bo w Tatrach bawi, nawet nierzadko, niedźwiedź, zdarza się ryś, w reglach żyją sarny i dziki, na wiosnę tokuje w nich głuszec, podczas gdy cietrzew w kosodrzewinie wywodzi swą pieśń miłosną. Jest i zając, choć bardzo rzadki. Naturalnie nie zbywa na lisach, bo gdzieżby ich brakło. Możnaby więc mieć także pożytek z takiego polowania, przynajmniej częściowy, jeżeliby się bowiem zaopiekowało polowaniem pod każdym względem, rozmnożyłaby się wszelka zwierzyna — a szczególniej sarny, których w państwie zakopiańskiem jest obecnie stan bardzo przyzwoity. Przed nabyciem tych dóbr przez hr. Zamoyskiego, który sam podobno myśliwym nie jest, ale zwierzyną się opiekuje, sarny taką samą były rzadkością, jak i kozice. Po jakich dziesięciu latach opieki możnaby już dowodnie wykazać, że i odstrzeliwanie jest potrzebne. „Hege mit der Büchse“ jest przy opiece nad grubą zwierzyną równie dobrze potrzebna jak karmienie i usuwanie drapieżników. Alpejscy myśliwi wyrachowali jak najdokładniej, jaki stosunek kozłów i kóz ma być zachowany, aby... wszystko szło jak z płatka. Przyjmuje się, że kozice dosięgają wieku 15 do 20 lat, zatem w pełnej sile reprodukcyjnej znajduje się tak cap, jak i koza w wieku od 5 do 10 lat. Koza ma w regule jedno koźle — starsze niekiedy po dwa. Dwuletnia kozica nie jest jeszcze zdolną do rozpłodu, jest nią dopiero ze skończonym rokiem trzecim. Podczas rui jest kozica bardzo „rozbawioną“, przynajmniej tak twierdzą wszyscy niemieccy autorowie, podczas gdy śp. Nowicki ubliżyć sławie naszej koziczki widocznie nie chciał, bo tej jej właściwości nie podkreślił, za to zgodnie z autorami niemieckimi popędliwość kozła, w tym czasie objawianą, bardzo malowniczo przedstawił. Ponieważ więc koziołki staczają ciężkie walki w tym czasie, jeżeli ich jest za dużo, męczą się nawzajem i nie pozwalają na spełnienie obowiązków małżeńskich, tak, że kozy mają nawet przy przyzwoitych wymaganiach usprawiedliwiony powód do skarżenia się. Stare kozły, a co gorsza stare kozy, których zachowanie hr. Sylva-Tarouca jako „ekelhafte Zudringlichkeit“ charakteryzuje, szkodzą najwięcej prawidłowemu zwiększaniu się liczby kozic. Z tego wszystkiego wyciągnięto następującą naukę zasadniczą w rewirach Alpejskich: Stosunek kóz do kozłów powinien podczas rui być taki, żeby na trzy do czterech kóz był jeden cap. Więcej niż połowa całego stanu powinna składać się z kóz — reszta przypada w połowie na kozły wyrośnięte, w połowie na roczniaki. Z kóz przynamniej dwie trzecie części powinny mieć po lat pięć i więcej.

Przy zachowaniu tego stosunku można liczyć, że zdolne do rozpłodu kozy wydadzą na świat i wychowają 70% młodych. Aby stosunek ten ustalić trzeba odstrzelić odpowiednią ilość kozic. Myśliwi alpejscy mają znów dokładnie zestawiony formularz na ilość kozice, przeznaczonych corocznie do odstrzeliwania. Rachunek ten zestawia się jednak po jak najdokładniejszem obliczeniu stanu kozic. Twierdzą oni, że nie przedstawia to takiej nadzwyczajnej trudności. Należy jednak przy tem obliczaniu rachować się z tem, że w lecie szukają kozic, a szczególniej te, które wyżej w kierdelach stoją. (bo kozice niżej w lasach się znajdujące nie zmieniają tak łatwo swoich stanowisk), miejsc cienistych po drugiej stronie gór, podczas gdy w jesieni i w zimie wybierają miejsca słoneczne i cieplejsze. Stąd pochodzi, że niekiedy rewir, który w lecie zupełnie kozic nie posiada, w zimie roi się od kozic i przeciwnie. Jeżeli obie strony gór są w rękach jednego i tego samego właściciela, wtedy wszystko dobrze — jeżeli zaś tak nie jest, w takim razie ilość kozic, przeznaczonych do odstrzelenia, musi być zdecydowaną po porozumieniu się z właścicielem strony drugiej. Inaczej odstrzeliłby właściciel jednej strony według stanu obrachowanego w lecie, a właściciel drugiej strony według stanu zimowego, co oczywiście byłoby rzeczą najszkodliwszą. Po obrachowaniu stanu zwierzyny i po skonstatowaniu, że przyrost tegoroczny był prawidłowy, trzeba znowu odliczyć ewentualne straty w zwierzostanie, co tylko możliwem jest po kilkuletnich doświadczeniach, bo straty te zależą od bardzo wielu, dla każdego rewiru, innych okoliczności. Trzeba przedewszystkiem rozróżnić straty normalne i nadzwyczajne. Nadzwyczajne straty będą sprowadzały lawiny, zarazy, które do kozic dostają się od owiec i kóz i t. p. Odstrzeliwanie nie może zatem tak być obrachowane, że przeznaczoną do tego ma być taka liczba, jaka przyrosła w roku bieżącym, lecz musi ona być zawsze od niej mniejszą. Zasadą jest: ze względu na stosunkowo powolniejsze mnożenie się kozic i na niebezpieczeństwa, na które kozice są wystawione, nie można normować odstrzału w tej wysokości, jak u sarn i jeleni, lecz musi on być niższy, niż cyfra rocznego przyrostu po odciągnięciu naturalnych strat. Hr. Sylva-Tarouca, z którego doskonałego dzieła te daty bierzemy, obrachowuje przykładowo odstrzał przy stanie 100 sztuk:

Rocznych kozic . . .	23	strata	1	odstrzał	3
Trzechletnich kozłów . .	9	strata	1	odstrzał	1
Czteroletnich „ . .	7	„	—	„	3
Pięcioletnich i starszych .	7	„	—	„	5
Razem kozłów	23	strata	1	odstrzał	8

Trzyletnich kóz . . .	9 strata	1 odstrzał	1
Czteroletnich kóz . . .	8 „	—	„ 1
Pięcioletnich i starszych .	37 „	—	„ 2
Razem kóz	54 strata	1 odstrzał	2
Suma	100		
Przyrost: koźląt . . .	30 strata	4 odstrzał	—
Suma straty i odstrzału .	23 „	8	+ 15

Hr. Sylva-Tarouca podaje jako konieczne reguły racyonalnego odstrzału: 1) oszczędzać zawsze i bezwarunkowo koźlęta, 2) stare kozy równie starannie odstrzeliwać, jak stare kozły, 3) jeżeli stan kozic już dosięgnął tej wysokości, jaką się chce mieć w rewirze, można odstrzeliwać roczniaki, jednak tylko w tej liczbie, żeby zostało ich zawsze tyle, ile w ogóle odpada rocznie kozic przez odstrzał i inne przyczyny, 4) bezwarunkowo należy odstrzeliwać słabe i chore sztuki.

Choroby są bardzo rzadkie u kozic — zwierzyna na tak twarde warunki egzystencyi wystawiona nie może sobie tego zbytku pozwalać, inaczej musiałaby przestać istnieć. Zdarzają się jednak przypadki kołowacizny, przypadłości żołądkowych, suchot, cierpień wątroby i t. p. Parchy, raciczna i pyskowa zaraza i t. p., przechodzą od owiec i kóz na kozice. Nietylko należy odstrzelić i zagrzebać wszystkie chore egzemplarze, ale należy także powstrzymać rozwój zarazy. Po skonstatowaniu zarazy wypędza się z tej części rewiru kozice i obwiesza się ją chorągiewkami, na wekslach kładzie się gnój owczy, polewa się je kwasem karbolowym, naftą lub innemi cuchnącymi środkami, żeby kozice powstrzymać od powrotu.

Proszę nie patrzeć na mnie zdziwionemi oczami, szanowny czytelniku, bo to wszystko i jeszcze więcej robią Niemcy w trudniejszych niż nasze rewirach i mają dzięki temu taki stan kozic, że mogą ich rocznie w samej Austryi n. p. po 10.000 odstrzeliwać. Alpejski strażnik łowiecki idzie jednak w góry i w czasie najtęższej zimy, zobaczyć, co ze zwierzyną się dzieje — u nas właśnie wtedy, gdy zwierzyna największej pomocy potrzebuje, siedzi nawet w łatwiejszych terenach przeciętny leśnik w domu, rozumując „żeby i psa nawet w taką porę nie wygonił“. Tam, gdzie tak nie jest, a dzięki Bogu coraz więcej takich miejsc, rozwija się stan zwierzyny znakomicie. Nie byłoby zatem rzeczą niemożliwą, żeby i u nas nad kozicami można było roztoczyć opiekę, którąby zezwoliła im się należycie rozmnożyć. To, że u nas są kłusownicy i że u nas wysoko bydło i owce podpędzają, że chodzą turyści, nie jest argumentem przeciw, bo i w Alpach to samo się dzieje. Trzebaby tylko inicyatywy — mogliby ją podnieść najbliżej Tatr mieszkający myśliwi, a sądzę, że znalazłoby się w kraju dosyć amatorów, którzyby poświęcili trochę pieniędzy w tej nadziei, że po kilku latach otworzą się dla nich rewiry, dające im możność prześlicznego i niezwykłego polowania. Jestem bowiem przekonany, że w razie takiego kilkoletniego, racyonalnego postępowania, nie byłoby przeciwników zmiany ustawy, jeżeliby się udowodniło naukowo, że racyonalny odstrzał, za który takie towarzystwo, bezinteresownie przez kilka lat pracujące, dawałoby zupełną gwarancyę, jest tylko środkiem ułatwienia dalszego mnożenia się zwierzyny. Zdaje mi się, że to jest w każdym razie racyonalniejsza droga, niż zaczynać od odstrzału przy dzisiejszym stanie kozic. Jest powszechne zdanie, że my hodujemy kozice dla Węgrów, którzy je strzelają — otóż powiedzmy sobie lepiej na ucho, że jeżeli jest co kozic, to mamy to niewątpliwie naszej ustawie dzisiejszej, ale także i dzisiejszym stosunkom łowieckim w węgierskich Tatrach do zawdzięczenia.

Rozmnożyłyby się kozice i u nas, jestem tego pewny, ale trzebaby im użyczyć takiej opieki, jaką mają one w innych zagospodarowanych rewirach.

Chciałbym dożyć tej chwili, kiedy wolno będzie w Tatrach bez obawy powrócenia do stosunków z przed laty czterdziestu polować na kozice. Ci, którzy postaraliby się o ich rozmnożenie, zbieraliby obfite plony — chociaż wiadomą rzeczą, że nie tak to łatwo dostać na strzał kozicę.

Tutaj przypomina mi się to, co Kobell pisze o warunkach zabicia kozła, które podawał mu w naiwny sposób stary alpejski strzelec: „Najprzód, mówił on, musi być kozioł, bo nieraz się myśli, że jest, a jego nie ma, powtóre jeżeli już jest kozioł, to musi nim być rzeczywiście, bo nieraz, nazywa się kozioł, a przyjdziesz do leżącego, a to koza. Po trzecie, musi być na takiem miejscu, żebyś go mógł podejść, a żeby cię on nie zobaczył. Po czwarte musi być na takiem miejscu, żeby jak z niego po strzale spadnie, nie rozbił się w strzępy, albo nie spadł w taką dziurę, z której go nie dostaniesz. Po piąte potrzeba dobrego wiatru i pogody. Po szóste musisz go trafić, po siódme musisz go dobrze trafić, żebyś go dostał, ażeby nie poszedł w takie ściany, w które nie mógłbyś za nim pójść. A so is's.“

Wszystko, tak opieka nad kozicami, jak i polowanie na nie, są to rzeczy trudne i mozolne, wymagające i nakładów i wytrwałości i odporności przeciw zniechęceniu i wielu innych rzeczy, których właśnie u nas nie ma, ale które, nie traćmy nadziei, powinnyby się i u nas wyrobić. W Siedmiogrodzie, w którym stosunki łowieckie nie są wiele lepsze, niż u nas, bo i kłusowników jest mnóstwo, a niedźwiedź i orzeł tam właściwą mają ojczyznę, udało się staraniom tamtejszych myśliwych, których liczba nie była wielką, doprowadzić do ślicznego stanu kozic. Aż żal się robi, że w tym samym pasie gór, w Czarnohorze, gdzie kozice lepsze by miały warunki do życia, niż w Tatrach, nasi poczciwi huculi do nogi je wybili. Podobno jeszcze przed czterdziestu laty widziano na Czarnohorze kozice – oczywiście były to bliskie krewne kozic siedmiogrodzkich. Gdybym był optymistą, tak jak nim nie jestem, (nie wierzysz, szanowny czytelniku?), tobym podobnie jak obrazem towarzystwa, zajmującego się opieką nad kozicami w Tatrach, cieszył się nadzieją, że może ktoś do Czarnohory sprowadzi kozice i że one napowrót ożywią te w swoim rodzaju śliczne góry. Niemożliwem by to nie było. Technika łapania i przewożenia zwierząt dzikich tak postąpiła, że wszystko obecnie jest możliwe. Przewożą marale z Syberyi, koziorożce z Uralu, głuszce z Norwegii itp. dlaczegożby kozicy nie można było przewieść? Wiem nawet z pewnością, że je przewożą. Trzebaby na to wszystko tylko pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy — a przytem dużo dobrej woli, choćby kilku jednostek i wytrwałości. Ciężko to wmówić w kogoś taki obowiązek, bo bądź co bądź praca to na długą metę, z której owoce dopiero po długich latach pracujący zbierze, albo dopiero jego potomkowie, odstraszać to jednak dobrego myśliwego nie powinno, bo on, jak i ściśle z nim spokrewniony leśnik, pracuje przeważnie dla przyszłości —

i pracuje z przekonania. Dobry myśliwy już się nawet do tego przyzwyczaił, jak ryby do skrobania żywcem i jest najczęściej chodzącym obrazem abstynencyi. Pociesza się też w rozmaite sposoby i tłumaczy sobie, że w myśliwstwie nie tylko strzelanie i zdobywanie trofeów jest najpiękniejszą jego stroną — ale życie wśród natury i sposobność podziwiania jej cudów z bliższa, niż to innym jest danem.

Powtarza też z chęcią z Koblem:

„Und wenn es nicht um's Jagen wär,
„Als früh im Wald zu schweifen,
„Zu hören, wie der Kukuk ruft,
„Und wie die Finken pfeifen,
„Den Schwätzern aus dem Weg zu gehn,
„Und keinen Narren mehr zu sehn,
„Es wär' genug der Lust dabei,
„Zum Lob der Jägerei!“
. . . .

Rzucam okiem na wiersz piąty tej strofki, (ale tylko na wiersz piąty)... i kończę.

St. M.

„ROK MYŚLIWCA“

Wincentego Pola z rysunkami Juliusza Kossaka.

Kiedy z dniem każdym coraz więcej chłódnie,
Gdy świat zasępią te jesienne słoty,
Niebo gwiaździste wystraja się cudnie
I świetne gwiazdy idą w kołowroty,
I mleczna znowu wyiskrza się droga,
Niebo jesienne staje pełne krasy
I po tych gwiazdach trafia człek do Boga,
Kiedy na ziemi wszystko się zatarło,
Kiedy co żyło wszystko obumarło;
Bo jedne gwiazdy patrzą na nas łzawo,
Jakby się czegoś nad ziemią żaliły,
Inne mrugają ku nam błękitnawo,
A inne jeszcze stoją pełne siły,
Błyszcząc rubinem i patrzą jaskrawo.
Z jednemi tedy wolno się pożalić,
Z drugiemi kochać aniołów miłością,
Z trzeciemi pałać serca gorącością,
Z wszystkiemi razem Pana domu chwalić.
Gdy mgły się mokre ponad ziemię ścielą,
Gwiazdy się tylko do serca anielą;
Kiedy mróz grudą pustą ziemię ściska
Niebo tak wielką pogodą połyska,
Jakby tam wiosna schodziła z kolei;
Gdy świat w rozcieczy, ziemia bez nadziei
Żywot się ze dnia tu na noc przekłada
I jest w niebiesiech na niedobór rada,
Gdy wszystko żywe na ziemi umiera,
Niebo swój skarbiec dla duszy otwiera
I świecą znowu klejnoty na ziemi,
Co tam świeciły wiekami całemi,
Od pokolenia każdego witane,
W każdym narodzie mądrym ukochane.

Z każdym dniem chłodnieje i zmienia się coraz więcej koloryt widoków; coraz rozleglejszy widnokrąg odkrywa się dla oka. W polach leży wszystko jak na dłoni, a liść lecący z drzew odkrywa niejeden widok, przez całą wiosnę i całe lato zakryty dla oka. Widać już i wierzchem lasów i śród lasów niejedno. Wyschły osoki i trzciny, które pokrywały wody, i już z oddalenia błyszczą się znowu wielkie zwierciadła stawów i jezior, i srebrne wstęgi rzek, których teraz nie przysłaniają wikle lub oczeret. Z każdym dniem chłodniej lub widniej. Różnica zachodząca pomiędzy ciepłem pogodnego dnia a chłodną nocą jest bardzo znaczna, bo w południe ociepla się czasem do dwudziestu stopni jeszcze, a nocą ścina się rosa szronem i nieraz zabieleje świat cały o ranku. Nieraz zaleje szron, rosa najobfitsza w tym czasie; ztąd czy po rosie, czy po szronie jest codziennie trop świeży i objazd na grubszego zwierza łatwy; ztąd też poczyna się już urocza gra mgły porannej i wieczornej.

Cienie coraz dłuższe; seledynowe i fioletowe odcienia nieba i chmur, po rąbkach jeszcze ozłacane, grają w świetle słonecznem, gdy się słońce chylić poczyna. Na niebie i ponad ziemią gra kolorytu cudna; ale na ziemi wszystko coraz więcej szare. Po przejściu ostatnich burz jesiennych, na przesileniu uspokaja się znowu powietrze i nastaje babie lato pod koniec miesiąca. Powtórnie kwitną wtedy niektóre kwiaty wiosenne i zapach macierzanki roznosi mgła osychająca po słonecznych zbożach; snują się srebrne pajęczyny i błyszczą szczególniej w rosach albo w szronie, nawodząc świat cały srebrną, gazową tkaniną.

Jeżeli babie lato zawiedzie, to nie zawiedzie z pewnością słota jesienna, która zwykle dnia trzeciego po przymrozku bywa. Ranki i wieczory zwykle i chłodne i mgliste, a pod koniec miesiąca pada już często mokry śnieg z deszczem pospołu.

Rolnik liczy już od matki Boskiej Różańcowej głuchą jesień; jakoż straciły już gołe ściernie złocisty swój połysk, a paszniste ściernie zieloność swoję, gdy po nich przeszły stada tłoką. W mgle porannej ciągną stada nie

pasąc się, bo już rosa chłodna, i rycząc, bo już w polu goło; miedze tylko rozgradzają jeszcze zielonością szare ugory lub czarną oraninę, a tylko łąki wyszłe z pod otawy ciągną się jeszcze zielonemi smugami wzdłuż dolin. Ozime posiewy żyta, które z razu schodziły czerwoną szczotką, przechodzą teraz w zielone krzaczki, a szmaragdowa zieloność ozimej pszenicy mszy się w rosach i odbija żywo od ciemnego tła czarnoziemu.

Ruch też ptactwa zupełnie inny. Wielka część płochej ptaszki odleciała już do cieplic; cicho w polach i na łąkach, pusto po halawach. Drapieżne ptactwo krąży pojedynczo, wysoko ponad ziemią w wielkich kołach i unosi się daleko, bo coraz trudniej o zdobycz, więc buja i uchodzi w ślad płochej ptaszki za morze. Sadowa ptaszka, która się po pniach i gałęziach wspina i przysiada, ściąga się około dziupel i sadów, a ta co gromadnie żyje, zbija się w coraz większe gromady, trzyma się trwożliwie stada, zmienia ciągle miejsce, szukając żeru lub uchodząc przed nieprzyjacielem. Ptactwo wodne ciągnie w części do cieplic, a w części przenosi się na żyzne oparzeliska i stepowe jeziorka, gdzie do pierwszych mrozów dosiaduje, lub na zimę zostaje. Wrone też ptactwo zbija się w gromady coraz większe; gawrony spadają nieraz tak wielkiemi stadami na zarunione oziminy, że się całe łany czernią. Największy ruch wronego ptactwa o świcie, gdy się w przylaskach gromadnie i wrzaskliwie zbiera; o wieczorze gdy od zorzy leci, szukając noclegu, lub tłumiąc się przeczuwa slotę. Miejskie kawki wracają do wież i murów, domowe sroki zbliżają się do obejścia, a w dzień pogodny ciągnie wysoko ponad ziemią pojedynczy kruk w jednym kierunku, jak gdyby na całe mile upatrzył lub wietrzył coś z wysoka, i kracze zrzadka, nie zmieniając kierunku od chwili i gdy się w oddaleniu ponad ziemią dla oka wybije, aż do chwili kiedy po drugiej stronie za widokrąg zapada.

Od świętego Michała
Trąbka dla nas zagrała
I gwar psiarni się niesie
I paździerzy po lesie.



Jakoż zmienia się barwa lasów z każdym dniem więcej i opadają dojrzałe nasiona. Dziki idą na żołędź w dąbrowy, a na bukiew w buczyny.

Młode warchlęta porastają bardzo sporo, a podświnki o drugie tyle. Samury odżywiają się po odkarmieniu warchlaków; hurt jałowy pęcznieje, a stare dziki nabierają zuchwałości i siły. Dla jeleni czas to rykowiska, więc trzymają się stadem w samotnych lasach około źródeł i beczą przez noc całą, niewidziane we dnie, lecz w nocy na mile słyszane.

Łosie przechodzą na godzinę przed wieczorem z wielkich, ciemnych puszcz i lasów na odkryte hały, przebywając rzeki i jeziora wpław, bo i dla nich czas bekowi-ska. Klępy z cielętami nocują z osobna na odkrytych, nie przystępnych hałach w kępach olchowych, gdzie się bezpieczne czują od wilka, a przez rzeki i jeziora płyną stare szuflaki, na bek stada, które się nocą do hurtu zbiera w miejscach bekowiska. Na łodzi bywa tutaj częstokroć polowanie na łosie bardzo szczęśliwe, bez psów i obławy, bo przeprawiają się zawsze w tem samem miejscu przez wody i przez hały do kęp i nie zmieniają raz powziętego kierunku, nawet na odgłos gęstych strzałów.

Łoś płynie bardzo równo i pewniejszy tu strzał, ale w oko trafić trzeba, bo prócz szufli i głowy, nic nie widać z wody. Hały są na całe mile odkryte i tak bagniste, że inny zwierz po nich nie przejdzie, a gdyby się do cieląt skradał, jest już z bardzo daleka słyszany od czujnej łoszy. Nie z przypadku tedy trzymają się łosie pewnej tylko okolicy i nie przechodzą linii zapadłego Polesia na południu. Gdzie nie ma wielkich, odkrytych hałów, przez które po dniu jasnym ciągną sznurem, powoli i niedbale przechodząc z puszczy ku kępom i wracając od kęp do puszczy; gdzie nie ma rzek o bagnistych brzegach i wielkich jezior, — tam i łosi nie ma. Pławienie się łosi na wielkich wodach i je-

ziorach należy do ich natury. Potrzebują one tej kąpieli, kiedy się owady pod ich skórą lęgną, gdyż wskutek tego cierpienia narastają po nich bolączki, zanim się wylęgłe owady przez skórę przegryzą. Potrzebują one tej kąpieli, bo się nią chłodzą w czasie rykowiska, kiedy za bekiem samicy idą w prostym kierunku przez jeziora i rzeki. Stary myśliwy na Litwie zrobił mi uwagę, że łoś jest zwierz ciężki i że na każdem polu trop znaczy. Wie on o tem, więc idzie wpław przez wody i tu ginie trop jego na wodzie dla myśliwego i dla ogara i dla zwierza, który by go tropił. Ztąd też płyną łosie przez rzekę z wodą lub pod wodę, aby trop zatracić, ale nigdy naprost i w poprzek rzeki, a gdy już łoś pójdzie wpław przez jezioro, nie ma obawy, by go kto stropił, lub jezioro objechał.

Łoś włóczy się po halach, gdy liść z drzew opadać poczyna i przenosi się w gęsto podszyte jelniki i szyszkowe bory, z leśnych czarnych dolin, liściastem drzewem porosłych, bo tu z dniem każdym widniej, więc się nie czuje bezpiecznym.

Jakoż poczyna już brunatna rózga lasów przebijać z każdym dniem więcej. Cytrynowy liść z brzozy oblatuje z wiatrem i już nagie jej warkocze zwieszają się ku ziemi i świszczą w powietrzu. Bukowe lasy palą się w ciepłym kolorycie i są podobne do miedzi świeżo z ognia wyszłej. Dzikie owocowe drzewa błyszczą już resztką purpurowych listków. Pomiędzy krzewami, jak z wiosny wilcze łyko, tak teraz berberys nawodzi się karminem, a i owoce i liście przybierają w końcu jeden kolor. Jarzębina zarumienia swe jagody, a całe lasy jarzębowe, w górach skorosiną zwane, palą się niby w ogniu w czerwieni tych jagód. Zieloność sosnowych borów zrudziała, a świerkowe i jodłowe lasy przechodzą z ciemnej zieloności w granatową i czarno-zieloną. Jak wiosną uderzają oko wszystkie odcienia papuziej zieloności, aż do brunatnej czerwieni, tak teraz się poczyna świat cieniować całą skalą kolorów; od blado-żółtych i zgniło-zielonych począwszy, przechodzi przez całą tęczę kolorów dodatnich, aż do ciemno-orzechowych i zielono-czarnych, a z każdym dniem poczyna przeważać więcej brunatny kolor nagiej rózgi i paździerzy po lesie i w sadzie.

Polowanie jest w tym czasie na wszystko, co człek zoczy i na cel weźmie; wszystko, oblane, dołożone, ogładzone, nowem pierzem i nową skórą porosłe. Polowanie z charty trwa ciągle jeszcze i właściwie najlepsza pora to na charty, bo z każdym dniem chłodniej, więc szczuć można przez dzień cały. W kniejach i puszczach trwają jeszcze królewskie łowy na niedźwiedzia, dzika, jelenia i łosia, na sarny, daniele i rysie. Po krzakach i ściankach, po okopach i łazach poczyna się polowanie szlacheckie z ogary na liszkę i borsuka. W tym czasie urządzają się wielkie obławy na wilki, a mały myśliwy bije szaraki na upatrzonego w polach, bo liść leci, więc kot w polu leży.

W połowie października, mianowicie po 16-tym, zaczyna się ciąg jemiołuch, paszkotów, kostobryzów i kwiczołów. Jedne przybywają z północy, drugie z południa po winobraniu węgierskiem i spadają u nas na jałowce i późne jagody. W tym czasie są też one najlepsze, kiedy się na winohradach odpasły, a u nas jałowcami żywją i idą tysiącami na sidła. Przez cały październik poluje się w krzakach z psem legawym, a w podszytych przylaskach z pogonką na słomki, które są oblane i najlepsze w tym czasie. Zając przebywa, gdy chłodno, w podszytych komeszach, na pogodę w oraninie, w kapuśniakach i w rzepniskach. Liszka, wydra, borsuk i żbik łagodzi i sposobi się do zimowych leży. Tchórz, kuna i łasica poczyna się znowu tłuc po strychach, śpichrzach i gumnach. Wróble cisną się gromadą pod ciepłe strzechy w stodołach i stajniach, a obsiadają szczególniej przed słotą całemi kępami ociernione płoty i ostrzeszki, w których są bezpieczne od nieprzyjaciela czują. Czas to dla ptaszników, i wszelka mała ptaszka co gromadami ciągnie i gromadą spada, łapie się wtedy na poły, samotrzaski i na lep, na ziarno na konopie, jarzębinę i jemiołę, a połów tem szczęśliwszy, czem pustsza i więcej bezleśna okolica. Dla rogaczy wszelkich kończy się ze schyłkiem miesiąca czas rykowiska. U dzików poczynają się fukać samury i lochy jałowe. Jałowe łanie i rogacze biją się jeszcze na upatrzonego, ale hurt oszczędzać już wypada. Jarząbki wabione, lecą jeszcze do połowy miesiąca na strzał. Ciąg skowronków trwa ciągle. Kaczory hałasą jeszcze bardzo na halawach przed zmianą stanowiska. Polowanie na łodzi ustaje. Kuropatwy łapią się jeszcze na zimowe chowanie po dniu i na nocne siatki.

Narty w usługach łowiectwa.

W Bawaryi, szczególniej w rewirach górskich, każdy prawie z leśniczych i służby łowieckiej posługuje się obecnie przy obchodzeniu rewiru nartami, czyli „ski“. Narty usunęły obecnie na drugi plan używane w Alpach, w czasie zawalnych śniegów kółka, które umożliwiały chodzącemu po górach utrzymywanie się na powierzchni śniegu, były jednak męczące i niejedno zapalenie płuc, na które rewirowy alpejski zapadał, można było przypisać tym właśnie przyrządom, chociaż ułatwiały one bądź co bądź chodzenie po górach. Służbę łowiecką za granicą, a mianowicie w krajach niemieckich i w Czechach, gdzie łowiectwo tak wysoko stoi, że już nie charakter zabawy, ale charakter ciężkiego nieraz obowiązku i pracy posiada, pełnią lepiej niż u nas. Wtedy gdy zwierzyna najwięcej pomocy potrzebuje, nastaje najcięższa służba dla łowiectwa tamtejszego i pełni ją ono sumiennie i skrupulatnie, inaczej nie mogłoby wykazać takich rezultatów, jakie wykazuje. Każde zatem ułatwienie, które pozwalałoby na szybsze i mniej męczące obejście rewiru w czasie śniegów, jest rzeczą bardzo pożądaną. „W dzisiejszych czasach, w których podchwytuje się z takiem upragnieniem każde ułatwienie i wzbogacenie środków komunikacyjnych, mówi gorliwy propagator nart, Zeitler, rozpisujący się o nich po wszystkich czasopismach niemieckich, dziwić się należy, że narty tak stosunkowo mało jeszcze znalazły zastosowania szczególniej w łowiectwie. Leciuchne deseczki, które od wieków noszą Lapończyka po jego śnieżystych łanach, mają bardzo ważne znaczenie i u nas, choć zima nie trwa całego roku i choć śnieg nie leży tak wysoko jak w ojczyźnie nartów. Małe zastosowanie nartów tłumaczyć sobie należy tem, że bardzo mało myśliwych, którzy pisują korespondencye do gazet myśliwych, posiadają narty, a z drugiej strony ci zawodowi myśliwi, strażnicy nadgraniczni i inni, którzy z urzędu narty do dyspozycyi otrzymują i którzy ich używają, mają co innego do czynienia niż pisanie artykułów gazeciarskich. Każdy jednak, kto raz z nartami się obznajomił, przyznać musi, że nawet w czasie naszej krótkiej zimy, używanie ich opłaca się, szczególniej da się to powiedzieć o górach, gdzie śnieg od listopada do kwietnia leży“. Śnieg na wysokość jednej stopy, jeżeli nie jest zupełnie przymarznięty i przykryty warstwą lodu, albo nie jest sypki i ziarnisty, nadaje się do użycia nart. Nawet na sypkim śniegu, chociaż noga wraz z nartą grzęźnie w nim trochę, łatwiej poruszać się na nartach niż bez nich. Kto zatem wćwiczy się w używaniu nart, a jest to rzeczą bardzo a bardzo łatwą, ten w zimie nie będzie ich zrzucał, chyba tylko w czasie na pół czarnej stopy, zresztą nie będzie się rozstawał z niemi bez względu na to czy to w równinach, czy w górach. Narty kosztują wraz z kijem do podpierania i odbijania się służącym, 15 marek; nie trzeba tu szukać koniecznie oryginalnych „ski“ norwegskich, bo bawarskie są bardzo dobre i tańsze, a płacąc nawet za norwegskie, nie ma się pewności, że dostaje się oryginalne norwegskie narty. Oprócz stroju, zresztą zwykłego myśliwskiego, potrzebne są niekiedy okulary zaciemnione, bo oczy, mające ciągle przed sobą w czasie szybkiego ruchu płaszczyzny śnieżyste, męczą się i osłabiają. Ci, którzy na nartach obiegają rewiry, twierdzą stanowczo, że to, co dawniej było dla nich ciężarem i co robili tylko pod wezwaniem spełniania obowiązku, jest obecnie dla nich przyjemnością. Czasu zyskuje się bardzo wiele, bo tę sama przestrzeń przebywa się w czasie o połowę krótszym na nartach, niż piechotą. Płuca i nogi ani w przybliżeniu tyle się nie męczą, jak przy chodzeniu. Owe niemiłe uczucie, jakie się ma pod kolanami, przy dłuższem schodzeniu z góry, nie istnieje zupełnie — z góry zjeżdża się na nartach najwygodniej, z szybkością błyskawicy. Tylko w gęstych zaroślach nie są narty do użycia, ale w średnio zarosłym lesie, nie mówi się tu już o lesie wysokopiennym, trochę wyćwiczony łyżwiarz biegnie prawie tak samo szybko, jak na wolnej, nieporosłej mchem przestrzeni. Praktyka wyrabia takie doskonałe czucie w nogach łyżwiarza, że końce nartów, bądź co bądź o 120 cm. od punktu, na którym człowiek stoi oddalone, wymijają jak najdokładniej każdy krzaczek lub pieniek, tak jak łódź pod sterem doświadczonego wioślarza na cal od obranego i nadanego jej kierunku nie odstąpi. Bezwiednie prawie przesadza się przez leżące pnie, z szybkością strzały wjeżdża się w parowy, po drugiej strony parowu wychodzi się schodkami do góry, co idzie o dużo szybciej, niż na nieuzbrojonych nartami nogach, bo tam, gdzieby nogi bez nart po kolana zapadały, tutaj zaledwie proch śniegowy końce butów obsypuje. Są dni, w których rewiry góskie są po prostu do nieprzebycia, a mianowicie, w czasie wielkich zasp — dla nart nie stanowią one żadnej przeszkody — owszem porusza się na nich łatwiej. Kto nie spróbował, ten nie uwierzy, że jest możliwem pokonać zapomocą nart wszystkie trudności terenu leśnego i górskiego. Przytem przyzwyczaja się człowiek do szybkiej decyzyi, szybkiego działania, potrzebnego do uniknięcia licznych ale nie wielkich niebezpieczeństw, które w czasie wędrówki na nartach co chwilę się nasuwają. Co najwięcej zdarzyć się może, to to, że się biegnący głęboko w śnieg zaryje, chyba, że chce robić karkołomne sztuki, ale te poważny myśliwy, zostawia specyalistom, którzy robią sobie sport z tego, i których wypadki nie wchodzą tu w rachubę. Strzelcy bawarscy, którzy „ski“ używają, opowiadają o wrażeniu, jakie wywołuje na przechodzących góralach przelatujący jak na skrzydłach leśnik, tem większe, jeżeli po raz pierwszy mają sposobność widzieć kogoś na nartach. Przypuszczać należy, że i kłusownik, widząc możliwość dosiągnięcia go, gdy tylko świeży ślad zostawi, nie tak śmiało do rewiru wdzierać się będzie, jak teraz, kiedy może równie szybko, a może i szybciej się poruszać niż straż łowiecka. Ale może sobie i on wtedy narty sprawi, któż to może wiedzieć?

U nas nie wiele, zdaje się, sportu tego próbowano. Słyszałem, że uczniowie wyższej szkoły dublańskiej uprawiali ten sport, czy jednak doprowadzili do jakich rezultatów, niewiadomo mi. Za to rezultaty jakie osiągnął obecny dyrektor krajowej szkoły lasowej p. Małaczyński, były

przez niego podane do wiadomości ogółu, a są bardzo poważne. P. Małaczyński odbył na nartach wycieczkę na Chomiaka i na Howerlę. Kto wycieczki te, choćby w lecie, robił, ten z opisu, który p. Małaczyński w XVIII. roczniku pamiętnika tatrzańskiego umieścił, a który przedrukowujemy tu dosłownie, pozna, jakie ułatwienie stanowią narty przy forsowaniu nawet tak wysokich szczytów. P. Małaczyński pisze:

Wycieczek na Chomiak i Howerlę w zimie nartami, próbowałem kilkakrotnie już w latach 1895 i 1896 w towarzystwie żony, lecz doszliśmy Prutem zaledwie do Foreszczenki, a Werediwczykiem do połowy Chomiaka.

Przyczyna niepowodzenia leżała bądź w braku wprawy dostatecznej, bądź w śniegu nieodpowiednim, bądź wreszcie co najważniejsza, w użyciu uprzęży niewłaściwej do przymocowania nart. Po usunięciu niedostatków pomienionych i poduczeniu innych jeszcze siedmiu osób o tyle, że mogły brać udział w wycieczce również na nartach, zamiary zdawna żywione, doczekały się urzeczywistnienia. 25 lutego i 16 marca 1897 dosięgliśmy znaków tryangulacyjnych Chomiaka (1544 m.) i Howerli (2058 m.) na nartach.

Dzień obrany t. j. 26-go lutego do wycieczki na Chomiak zapowiadał się o 6. rano w chwili wyruszenia z Tatarowa sankami, wcale nie obiecująco. Widnokrąg zasnuty wokół chmurami i wiatr południowo-zachodni nie bardzo się nam podobały, gdyśmy u ujścia potoku Werediwczyk w Prutec, zaczęli przypinać narty o 7-ej. Patrzac na skały bezśnieżne, czerniejące pod szczytem, poprzerywane gdzieniegdzie pasami białymi od granicy lasu do gnatu podłużnego ośnieżonego, który miał być naszą drogą, wątpiłem w duchu o wykonalności zamiarów, chociaż zachwalałem towarzystwu chmury jako sprzymierzeńca przeciw odbitemu światłu słonecznemu, któreby inaczej na stromym stoku nas prawie oślepiało. Z Werediwczyka po chwili narady wkroczyliśmy w potoczek bez nazwy, wypływający z pod płaszcza Chomiaka, i przekonaliśmy się niestety od razu, że warstwa wierzchnia śniegu zbyt była przymarznięta. Narty wymykały się na boki i w tył. Silnie kantowane zaledwie rysowały skorupę śnieżną. Byliśmy zmuszeni od samego dołu używać ciągle aż do granicy górnej lasu schodkowania, zamiast kluczenia (serpentyn), które to ostatnie ogromnie byłoby ułatwiło i przyspieszyło wdarcie się na górę. Idąc bez przerwy choć nadzwyczaj wolno, stanęliśmy o 10-tej przed południem pod grehotem*). Przekonawszy się, że gruzowisko, ze śniegu zupełnie ogołocone, tylko bez nart można przebyć, rozpoczęliśmy po półgodzinnym wypoczynku pochód, z nartami na ramieniu. W miarę posuwania się w górę, śnieg zalatujący i wiatr zmienił się w burzę z zawieruchą. Pęd powietrza uderzający o narty, utrudniał bardzo posuwanie się naprzód. Pochyleni przeciw prądowi i spierając się całą siłą na kijach ostro okutych, walczyliśmy z burzą. O przywdzianiu nart na grzbiecie jak pierwotnie postanowiono, nie mogło być mowy.

Śnieg ostry, drobny, ciął niemiłosiernie po twarzy, a ledwie na kilka kroków rysowały się niewyraźnie przedmioty. Gdyby nie klinowaty, wyraźnie znaczący się grzbiet, nie bylibyśmy trafili do znaku tryangulacyjnego. Co chwilkę stawaliśmy, obróciwszy się plecami do wiatru i oparłszy z całej siły na kijach dla zaczerpnięcia oddechu!

*) Huculska nazwa rumowiska — maliniak zakopiański.

Zamajaczył wreszcie po godzinnym wysiłku znak tryangulacyjny, witany okrzykiem radości zawczesnym, gdyż ostatnich kilkanaście kroków zabrało wiele czasu i wyczerpały nas prawie. Prąd powietrza u szczytu był tak gwałtownym, że dotarłszy do znaku pokładliśmy się na śnieg, zdawało się bowiem, że ten prąd mógłby nas zdmuchnąć lada chwilę.

Nie wiem, czy minutę trwał ten wypoczynek... Odwrót rozpoczęliśmy początkowo ścianą północną, która chroniła nas odrobinę przed wiatrem. Płynęliśmy formalnie wzdłuż grzbietu na skrzydłach burzy aż do punktu, w którym wskutek położenia zaciszniejszego przywdzialiśmy narty. A więc zjazd nie odpowiedział pod względem szybkości nadziejom rojonym, chociaż natrafiliśmy na warstwę jednolitą śniegu na ścianie bardzo stromej, kończącej grzbiet od Werediwczyka. Śnieg świeżo spadły, pozbijany w zaspy, hamował rozpęd, lgnął do nart, miejscami podrywała je skorupa dawna, stwardniała.

Do punktu wyjścia wróciliśmy o 1 godz. 30 m. popołudniu, a do tartaku doszliśmy w pół godziny później.

Ogółem wśród warunków najbardziej nieprzyjaznych, zużyto na tę wycieczkę siedem godzin. W lecie przy pogodzie potrzeba na przybycie tej samej drogi na Chomiak i napowrót co najmniej godzin ośm przy pośpiechu z wysiłkiem. Zwyczajnie odsiadują turyści oprócz tego przynajmniej godzinę pod znakiem tryangulacyjnym dla widoku prześlicznego, wypoczynku i pokrzepienia.

Powodzenie wycieczki pierwszej zachęciło do odbycia jej także na Howerlę, najwyższy szczyt w paśmie czarnohorskiem.

Pouczony doświadczeniem, oczekiwałem cierpliwie dnia pogodnego, najbliższego po świeżo spadłym śniegu, gdyż w ten sposób zamarznięty śnieg uzyskiwał pokład miękki, ułatwiający znakomicie wszelkie ewolucye nartami.

Warunki złożyły się tak szczęśliwie, że 16-go marca można było uważać za taki dzień pożądany. O wpół do trzeciej rano dnia 16-go marca wyruszyliśmy wozem do leśniczówki pod Koźmieską, z przeświadczeniem, że w jednym dniu uporamy się z olbrzymim naszym zamiarem. Zdziwienie malujące się na twarzy Węgrów, gdyśmy o 7-ej rano przed leśniczówkę zajechali, przybrało wyraz drwiącego politowania, skorośmy ich powiadomili o planach naszych. Wyjście na górę przy śniegu zwyż metra głębokim, było zdaniem mieszkańców tego zakątka, w ciągu jednego dnia niewykonalnem, a wogóle bardzo wątpliwem.

Po godzinnym wypoczynku szliśmy ścieżką wskazaną w leśniczówce aż do lasu bez nart, ponieważ na zrębie śnieg przymarznięty silnie, nie załamywał się wcale pod nami. Doszedłszy do lasu wysokopiennego i zacząwszy brnąć w śniegu, przywdzialiśmy narty i nie zrzucili ich już aż do końca wyprawy.

Schronisko na Koźmieskiej z widokiem prześlicznym na Howerlę, która połyskiwała w słońcu jak brylant o cieniach niebieskich, było pierwszym naszym etapem. Przed oczyma zataczała droga dalsze na tle nieba półkole o liniach wyrazistych. Mając przed sobą jeszcze $^2/_3$ drogi do przebycia, dałem, po półgodzinnem tutaj wytchnieniu, o godz. 10-ej 45 m. przed południem hasło do pochodu.

Na połoninie bezleśnej pięliśmy się szybko pomimo ostrego wiatru przeciwnego, rozsypani w tyralierkę każdy na swą rękę, bacząc tylko, by linii grzbietowej nie opuścić i zgromadziliśmy się na wypoczynek o 12-tej dopiero pod stokiem stromszym, leżącym między 1700 a 1800 m.

U podnóża stożka ostatniego a nadzwyczaj stromego — według zdjęcia średni spadek wynosi 43% — znaleźliśmy się o 1. godz. 10 m. z południa. Widok ścian i żeber prostopadłych, między któremi widniała przestrzeń przydatna do wyjścia, wąska stosunkowo, nie powstrzymywał nas pomimo groźnego wyglądu.

Część ostatnia drogi należała rzeczywiście do bardzo trudnych i niebezpiecznych nawet, z powodu silnego wiatru południowo-wschodniego, który wzmagał się z szybkością. Siłą woli i uporem szliśmy do góry pod wiatr stosunkowo najlżej i najbezpieczniej, gdyż mieliśmy wrażenie, że prąd powietrza przypiera nas do ściany śnieżnej i chroni przed usunięciem w przepaść u stóp naszych leżącą.

Do przebycia ostatnich 258 metrów wysokości potrzebowaliśmy 55 minut. Znak tryangulacyjny omarznięty zupełnie, wystawał ledwie półtora metra z pośród śniegu. Przysiedliśmy w dołku koło znaku, chroniąc się ile możności od wiatru, na pół godziny. Widok wspaniały węgierskich i naszych szczytów nie nęcił nas wcale, — myśleliśmy nad sposobem bezpiecznego zejścia. Nadspodziewanie jednak zjeżdżanie krótkiemi serpentynami i schodkami nie było wcale tak straszne. Pochyłość obserwowana z góry wyglądała znacznie przystępniej i w pół godziny przebyliśmy tę część drogi. Odtąd powrót stał się zabawką, a zjeżdżanie ku schronisku zajęło tylko 20 minut. O szalonym biegu po polu śnieżnem da pojęcie przybliżone fakt, że stąd aż do schroniska wynosiła średnia szybkość 45 m. na sekundę pomimo hamowania kijami. Jeden z uczestników stracił nawet ciężką czapkę baranią.

Wytchnąwszy kilka minut przy schronisku, jechaliśmy do brzegu lasu jeszcze wcale szybko. W lesie i na zrębie śnieg był już za miękki, a ścieżka zbyt wijąca się między drzewami, by można było pospieszyć, dlatego też od schroniska do leśniczówki trwał zjazd 53 minut. O 5-ej popołudniu wróciliśmy na leśniczówkę, zużywszy 6 godzin na wyjście aż do znaku tryangulacyjnego, 1 godz. 43 m. na powrót do leśniczówki, zaś 1 godz. 18 m. na odpoczynki.

Po przebraniu się i wypoczynku dwugodzinnym w leśniczówce, wróciliśmy do Tatarowa tego samego dnia o 10 godz. 30 m. wieczorem.

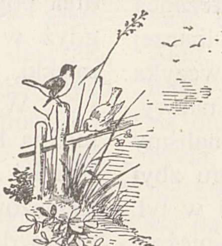
Na Chomiaku byli: pp. Maryan Małaczyński, Stefan Heller, Tomasz Marcinków, Józef Schnaider i hucul Onufry Sawczuk.

W wycieczce na Howerlę uczestniczyli: pp. Maryanowie Małaczyńscy, Tomasz Marcinków, Józef Schnaider, tudzież huculi Jakób Kondruk i Onufry Sawczuk.

Dwie takie wycieczki nartami na góry wysokie i strome zachęcą chyba wielu z czytelników do jazdy na nartach, o których u nas dotąd panuje uprzedzenie, jakoby tylko na równinach i lekkich pochyłościach mogły znaleść zastósowanie.

Może opis tych wycieczek, z których każda może się śmiało nazwać *„tour de force"*, zachęci kogo do zastosowania nart w lżejszych warunkach i do praktycznego celu.

Surwint.



Łowiectwo na wystawie paryskiej.

W pawilonie leśnym wystawy paryskiej pomieszczone są również wystawy łowiectwa wszystkich krajów. Już na wszystkich ostatnich większych wystawach można było zauważyć, że łowiectwo służy tylko jako stafaż dla leśnictwa. Nie byłoby to rzeczą niestosowną, bo bądź co bądź gospodarstwo lasowe jest rzeczą główną, a gospodarstwo łowieckie poboczną, o tyle jednak tylko, o ile chodzi o zwierzynę lasową — ponieważ zaś zwierzyna nietylko po lasach żyje, należałoby przecie łowiectwo traktować osobno i systematycznie. Wystawa paryska i pod tym względem nie wprowadziła nic oryginalnego — jedne tylko Węgry z własnego impulsu nie traktowały łowiectwa jako stafażu dla leśnictwa, lecz całkiem osobną wystawę łowiecką stworzyły. Nie potrzebują też tego żałować, bo świat łowiecki z pełnem uznaniem ten krok powitał.

Zostawiając sobie omówienie wystawy węgierskiej na koniec tej notatki, pomówimy najprzód o tych częściach wystawy, która łowiectwo polskie interesuje. Trofea tego łowiectwa znajdują się pomieszczone w części rosyjskiej i austryackiej. W wystawie rosyjskiej pierwsze oczywiście miejsce zajmuje żubr litewski i łoś poleski, którym towarzyszy ryś, niedźwiedzie i wilki. Wystawa to bogata, sobole, rosomaki, niebieskie i czarne lisy, reny i mnóstwo przedstawicieli bogatej fauny syberyjskiej czyni ją bardzo zajmującą.

Austryacka wystawa łowiecka jest w całem słowa tego znaczeniu stafażem dla leśnictwa. Ministeryum rolnictwa umieściło w jednym pokoju, trzeba przyznać, bardzo elegancko i gustownie urządzonym, obraz gospodarki lasowej dóbr państwowych, z uwzględnieniem leśnictwa prywatnego, ściany zaś pawilonu ozdobiło trofeami łowie-

ctwa. Na stołach rozłożone są więc liczne księgi z wykazami, zestawieniami etc., odnoszącemi się do kultury rolniczej i leśnej, stoją photoplastikony z prześlicznemi zdjęciami fotograficznemi, przedstawiającemi partye lasów skarbowych, rozmaite drzewostany, budowy wodne, klauzy itp. — Fotografie te są tak ładne i zajmujące, że pełno koło nich zawsze ciekawych. Od ciemno-brązowego tła ścian odbijają bardzo ładnie zawieszone myśliwskie trofea, a więc wieńce jelenie, parostki sarnie, wypchane zwierzęta łowne, traktowane po największej części jako zwierzyna już ułowiona. Wiszą więc parkami kaczki rozmaitego gatunku, głuszec, cietrzewie, jarząbki i kuropatwy, wisi śliczna, potężna kozica zaczepiona za związane raciczki, po drugiej stronie ogromny i bardzo pięknie spreparowany ryś bukowiński. Te dwie sztuki są najpiękniejszymi okazami wystawy po okazałych wieńcach dwudziestaka, zabitego w Wamie na Bukowinie. Wieńce zadziwiają ogromem swoim — takich rozłożystych, tak pięknie uperlonych rogów prawdopodobnie dotąd nie widziano w żadnych zbiorach. Mają one jednę wadę, a mianowicie, na czaszce pozostawiono skórę — co mogłoby dawać do myślenia, że są to zrzucone już rogi, a nie jak Niemiec nazywa „schädelecht“. W każdym razie, czy to są zrzucone rogi czy zdjęte z zabitego jelenia, świadczą one o tem, że właściciel ich był jednym z tych „potworów“ („Unthier“), jak galicyjskie jelenie nazywał śp. Arcyksiąże Rudolf. Wieńców jelenich jest więcej par — wszystkie wspaniałe. To samo da się powiedzieć i o parostkach sarnich. Za to wystawiony jedyny łeb dzika jest tak mały, że nie warto go było wystawiać — ileż to wspanialszych łbów odyńców możnaby było znaleźć w Galicyi — a jeżeli chodziło o dzika zabitego w dobrach państwowych, to Lisowice mogłyby były o dużo lepszego okazu dostarczyć. Brak też zupełnie niedźwiedzia, tak jakby go w austryackich dobrach państwowych nie było wcale. Zresztą, jak powiedzieliśmy wyżej, wystawa przedstawia się zajmująco.

Bardzo pięknie urządzoną jest wystawa węgierska. Przedstawia ona w rodzaju dioramy obraz całego łowiectwa węgierskiego. Kto był kiedy w Węgrzech, przyzna że scenerya, czy to podgórza i szczytów, czy też charakterystycznych równin udała się znakomicie. Na ścianie długiej blisko na 20 metrów a około 7 metrów wysokiej znajduje się namalowany bardzo ładnie krajobraz, przedstawiający widok Tatr od południa. Na lewo zbiega dolina, zarosła lasem dziewiczym, na prawo przedstawione jest to, cobyśmy po naszej stronie nazwali reglami, zatem gęsty las smerekowy na wysokich pagórach, łączących się z turniami. Ściana malowana łączy się niewidocznie z prawdziwymi przedmiotami, służącymi do przedstawienia krajobrazu, a więc powalonymi pniami, odłamami skał, drzewami i krzakami, nawet trawą, troskliwie dobieraną. Ciekawem jest bardzo prawdziwe zupełnie jeziorko, na którem siedzą całe stada kaczek w rozmaitych pozach, trzy czaple białe stoją na brzegu — cała kolonia żórawi po drugiej stronie jeziora, przedstawia się jak żywa. Czarny bocian, stojący na jednej nodze, patrzy z prawdziwą wschodnią obojętnością na cały ten ruch. Brzegi jeziorka roją się od czajek, kulików, łysek, kurek wodnych itp. w końcu widzimy tam przelotnego gościa, nura polarnego, przygotowującego się do połowu ryb. Na drzewach siedzą w najnaturalniejszych pozach głuszcze, cietrzewie, jarząbki, bażanty — jest ich dosyć i na ziemi, wśród paproci i krzewów — kuropatw stadko cieknie w trawach, jakby się usuwało przed widzami. Są także i mniejsze ptaki, a mianowicie paszkoty i kwiczoły, z których jeden, zgodnie zresztą z rzeczywistością, umieszczony jest na samym szczycie świerka.

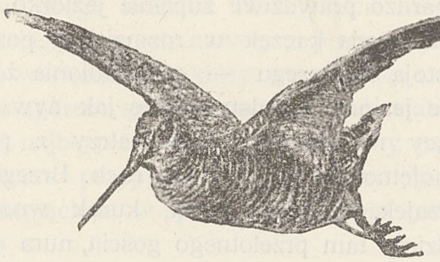
Lisy, borsuki, kuny, tchórze są tu także licznie reprezentowane — nie brak oczywiście i zająca.

Na lewo, wśród kosodrzewiny rosnącej na skałach rzuca się ryś na sarnę — drugi jego towarzysz patrzy na ten mord z konara rosnącego obok drzewa. Do tej grupy zbliża się niedźwiedź, ogromny egzemplarz, który widocznie ma zamiar odebrać zdobycz drapieżcom. Na skale wyżej stoją dwie kozice — jedna stoi na straży, druga żeruje spokojnie. Wyżej jeszcze widzimy również spokojnie żerujące świstaki. Już całkiem na pierwszym planie, w ujściu doliny, stoi wspaniały jeleń beczący. W głębi, na skalistej zboczy, znajdują się dwa muflony. Więcej już ku prawej stronie trzy wilki wzięły silnego odyńca w obroty, jednemu nie wyszło to na pożytek, gdyż odyniec rozpruł mu szablą brzuch — dwa inne wachają się, czy dalej atakować niebezpiecznego przeciwnika. Nad tem wszystkiem unosi się potężny orzeł siedmiogrodzki. Oprócz tego po ścianach pawilonu znajduje się rozwieszona broń rozmaitego rodzaju i mnóstwo skór grubej zwierzyny.

Na wystawę tę złożył się rząd i prywatni myśliwi, dla tego wypadła ona bardzo dobrze — lepiej niż cislitawska.

T.

KORESPONDENCYE.



Zewsząd dochodzą wieści o niezwykle obfitym tegorocznym ciągu słonek — prosimy więc szanownych naszych Członków o łaskawe sprawozdania z polowań jesiennych. *Redakcya.*

Lwów, d. 19. października 1900.

Wczoraj odbyło się polowanie w 8 strzelb w kniei Janówka, należącej do p. Ordynata Czarkowskiego-Golejewskiego. Przed rozpoczęciem polowania w tej kniei wzięto cztery mioty w sąsiedniej Dołżance, własności hr. Jerzego Borkowskiego i dwa mioty w Draganówce, należącej do p. Picka. W tych sześciu miotach i siedmiu miotach janowieckich zabito 7 słonek, 3 rogacze, 5 lisów i 20 zajęcy. Kilkugodzinny deszcz, który zepsuł ten prześliczny dzień, przyczynił się do tego, że rozkład był tak mały. Szczególniej słonek powinno było paść więcej — było ich bowiem tyle, jak w życiu mojem nie pamiętam, żebym naraz, w jednym dniu tyle słonek widział, chociaż widziałem już śliczne ciągi słonek w dolińskiem. Przy zachodzeniu prawie każdego miotu widzieliśmy podrywające się słonki, a niejednemu z myśliwych, postawionemu dopiero co na stanowisku, burknęła słonka, zanim jeszcze naboje do luf włożył. Przy dochodzeniu nagonki do linii rozpoczynała się zwykle taka kanonada, że nie wiedziało się, gdzie oczy zwracać, żeby i swojego terenu dopilnować i dopatrzyć przez tego lub owego sąsiada szczęśliwie chybionej słonki, żeby ją następnie również szczęśliwie... chybić. Chybiano też, bo chybiano — mogę to tem śmielej powiedzieć, że sam bardzo pilnie się do tego przyczyniałem i samochcąc mój osobisty rozkład o połowę zmniejszyłem. Gdybyśmy byli mieli cały dzień pogodny, polowanie to i tak prześliczne, byłoby jeszcze lepsze przyniosło rezultaty. Sarn było bardzo dużo w każdym miocie — kozłów jednak, szczególniej przyzwoitego wieku, stosunkowo mało. Lisów kilka uszło bez strzału. Polowanie prowadzone bardzo pięknie — cicho, bez jednego niepotrzebnego słowa, a sprawnie — nagonka chodziła jak na manewrach, pilnowana przez wzorowo wprawioną służbę lasową — słowem polowanie takie, jak wszystkie u czcigodnego naszego Wiceprezesa. *S. M.*

Podkamień, 12. października 1900.

Mało któremu z myśliwych naszych nie jest znaną tradycya świetnych słonczych polowań w Olejowie za życia ś. p. Kazimierza Wodzickiego. Różne na to składały się czynniki: Położenie Olejowa już samo nadzwyczaj temu sprzyjało, albowiem tamtejsze lasy, najpierwsze od ciągnących się od wschodu stepów Podola, bywały pierwszą etapą, na której długą wędrówką strudzone długodzioby pierwsze swoje musiały rozbijać namioty. Ale najważniejszym powodem świetnych ówczesnych rezultatów była wzorowa organizacya tamtejszych łowów. — Z prawdziwą przyjemnością stwierdzić można, że ta tradycya nie zaginęła, i że dzisiejsze łowy Olejowskie pod kierownictwem syna ś. p. Kazimierza, Aleksandra Wodzickiego w niczem dawnym czasom nie ustępują. Ten sam ład, ta sama sprężystość — tak samo wyćwiczona pogonka, i ta sama doświadczona kierująca ręka wprawnego wodza i doświadczonego myśliwego. — Świadczą o tem tegoroczne łowy odbyte w Olejowie w dniach 8. 9. 10. i 11. października — w 6 strzelb, a które w pamięci szczęśliwych ich uczestników z pewnością na długo pozostaną. Ubito: 6 rogaczy, 19 lisów i 105 słonek. Ciąg tegoroczny jest niezawodnie nadzwyczaj obfity — ale podobnym rezultatem wątpię, czy się jakakolwiek inna knieja w naszym kraju poszczyci. Niechże to będzie pociechą owym pessymistom, którzy twierdzili, że stan słonek w ostatnich czasach w skutek wystrzeliwania ich w całym świecie tak się zmniejszył i że już takich ciągów, jak to ongi bywało, miewać nie będziemy. Tegoroczny ciąg jesienny kłam zadał temu twierdzeniu. Kto zresztą widział na Wschodzie krocie przciągające tego ptactwa, ten przyjść musi do przekonania, że ubytek wyrządzony palną bronią w Europie, a choćby i w innych częściach świata, gdzie tylko sięga langastrówka i iglicówka, jest minimalnym. Burze morskie i krocie czychającego na przelot drapieżnego ptactwa, daleko tu większą czynią szkodę, niźli broń myśliwych.

Słonka, ten uroczy ciągły wędrowiec, ten skrzydłaty cygan — ten ptasi Ahasweros — w wiecznym ruchu z Południa na Północ — lub odwrotnie — do najponętniejszej dla każdego myśliwego zalicza się zwierzyny. — A jest ona może i jedyną u nas zwierzyną, w obec której wszelka ochrona w jednej miejscowości, byłaby zbyteczną i bezcelową. W tej wiecznej, nieustającej wędrówce kaprysy słonek są niezbadane. Nikt nie przewidzi z jakiego powodu olbrzymie ich falangi tę lub ową nawiedzą okolicę w jednym roku — a dlaczego ją w innych latach omijają.

Prądy wiatru — posucha, lub zbyteczna wilgoć, słowem i wpływy atmosferyczne są to główne czynniki — ale i tych wiedza ludzka tak jak i tylu innych tajemnic przyrody dotąd nie zbadała.

Leopold Starzeński.

Sokołów, d. 18. października. 1900.

Polowałem w Sokołowie na słonki 15. 16. i 17. października w sześć, pięć i dwie strzelby, — w obec ogromnego zniszczenia, jakie tegoroczna powódź wzwierzostanie zrządziła i wobec szalonej posuchy, jaka przez sześć tygodni panowała — tak, że nawet bagna powysychały zupełnie a w studniach wody zabrakło — szanse

były niezmiernie słabe — zaprosiłem jednak kilku z moich przyjaciół, ażeby przynajmniej szczęścia spróbować. Mimo jednak warunków, jak się zdawało najniekorzystniejszych, ciąg słonek był tego roku bardzo dobry, dowodem jak co do słonek — co do czasu, kiedy przyjść mogą i czy w ogóle w większej ilości przyjdą, zawodzą wszystkie znaki na niebie i ziemi. Rezultat polowania był następujący: żbik, duży stary odyniec, kozioł mylnik, lis, sowa uralska — czterdzieści trzy słonek, sześć bażantów, kszyk i derkacz, — cietrzewie były strzelane a do zajęcy nie strzelano wcale. Strzałów padło 237, z tego do słonek 167 a do bażantów 48, strzelaliśmy więc nie szczególnie. Oryginalną cechy tegorocznego polowania była ta różnorodność zwierzyny, która po jednym egzemplarzu złożyła hołd Dianie. Żbika zabiłem ostatniego dnia, kiedyśmy w dwie strzelby polowali na łozach na słonki i to dopiero w trzecim branym miocie pobereżnik pokazał mi go siedzącego na drzewie i zabiłem go w chwili, kiedy zeskoczyć zamierzał, śrótem Nr. 10. To już drugi raz mi się zdarza spotkać żbika podczas polowań słonczych na łozach. Przed sześciu laty był także żbik strzelanym ale uszedł cało.

Stanisław Małkowski.

Kronika.

Numer ten opuścił prasę d. 20. października b. r.

Polowanie na tygrysy w Indyach. Bardzo interesujące polowanie na tygrysy opisuje Mr. Walker, którego imie jest rękojmią, że całe opowiadanie jest prawdziwe i nieprzesadzone.

Mr. Walker, który jest urzędnikiem angielskim w Indyach, dowiedział się, że na wschód od Piplod pojawił się tygrys i że rozszarpał dwoje ludzi — nie mógł jednak udać się tam natychmiast, bo pilne sprawy w dystryktach głodem nawiedzonych powstrzymały go. W dziesięć dni potem znajdował się w wiosce również głodem nawiedzionej i tu dowiedział się, że w małym lasku, w bliskości wsi, widziano tygrysa. Postanowiono natychmiast urządzić obławę i Mr. Walker usadowił się na zaimprowizowanem schronisku na drzewie. Obława otoczyła lasek, zanim jednak zupełnie zamknęła łańcuch, wyszedł z lasu wielki tygrys, samiec. Poczuł jednak natychmiast Walkera i zaczął spoglądać ku drzewu, na którem znajdował się on. Walker posłał mu natychmiast kulę dum-dum (kaliber 303). W tej chwili wybiegła tygrysica o kilka metrów dalej z krzaków. Walker strzelił natychmiast do niej. Bezpośrednio po strzale pojawia się trzeci tygrys z drugiej strony i dostaje również strzał. Wszystkie trzy tygrysy zniknęły w krzakach. Przedewszystkiem kosztowało teraz dużo trudu, zanim nagonkę zdołano zatrzymać. W końcu udało się to i nastała na około zupełna cisza. Tylko Walker sam zbliżył się ku krzakom i z pagórka, do którego się dostał, mógł przejrzeć cały lasek. Spostrzegł wszystkie trzy tygrysy leżące, na oko już martwe. Tygrys i tygrysica leżały zaledwie o metr od siebie oddalone, trzeci tygrys leżał dalej o 15 metrów. Walker rzucił kilka kamieni ku tygrysom, aby przekonać się, czy rzeczywiście nie żyją. Celem upewnienia się wystrzelił jeszcze do nich ze śrótówki. Tygrysy nie dały znaku życia. Pomimo tego nie pozwolił Walker nikomu zbliżyć się do tygrysów. Znużeni obławnicy posunęli się trochę wyżej ku krzakom, szukając wody, a Walker napił się filiżankę herbaty, która musiała mu w obliczu takiego rozkładu niezwykle smakować. Skończywszy, rozpoczął znowu polowanie; zamiast sztućca kalibru 303, wziął kaliber 577 i udał się z nim w gąszcze. Gdy Mr. Walker wdarł się głębiej w gąszcz, rzucił nagle okiem na przewrócony pień, który tworzył rodzaj wgłębienia. Pod pniem leżał, z oczyma wlepionemi w zbliżających się ludzi, czwarty tygrys, a właściwie, jak się pokazało, druga tygrysica. Już przygotowywała się do skoku, tak że Walker znalazł ledwie czas, żeby się zmierzyć i strzelić. Strzał zagrzmiał i kula ugrzęzła we łbie tygrysicy — oczywiście uśmierciła ją na miejscu. Poruszenie między krajowcami było niezmierne, gdy z krzaków wyciągnęli cztery tygrysy — odbijało ono silnie od zupełnego spokoju, który zachował słynny łowiec wśród tego jedynego w swoim rodzaju polowania.

Żubry. W pracy przedłożonej przez E. Büchnera petersburskiej Akademii umiejętności, twierdzi autor stanowczo, że liczba żubrów zmniejsza się szybko i stale. Stan z r. 1867, w którym żyło żubrów 1898, spadł pomimo najstaranniejszego ochraniania tej zwierzyny na 491 egz. w r. 1892. Dokładne badania tego uderzającego objawu, które poczyniono dla dojścia jego przyczyny, dały rezultat, który nietylko dla tego specyalnego wypadku ma interes, ale który także rzuca nowe światło na kwestyę niknięcia wielkich ssaków w czasach przedhistorycznych i później. Po dokładnem zbadaniu wszystkich czynników, które mogły się przyczynić do zmniejszania się kolonii żubrów, jak np. dozwolonego lub niedozwolonego odstrzeliwania tych zwierząt i rozsyłania ich do ogrodów zoologicznych itp., następnie niszczenia ich przez zwierzęta drapieżne, przez zakaźne i inne choroby, przez szkodliwe dla nich zmiany stosunków wegetacyjnych i terenowych puszczy, a zatem i zmiany pożywienia z tem połączonej, przychodzi Büchner do wniosku, że wszystkie te, przez dawniejszych już autorów wymienione momenty nie dają dostatecznego wyjaśnienia powolnego zmniejszania się stanu tej zwierzyny. Prawdziwej przyczyny nie należy szukać w zewnętrznych, szkodliwych stosunkach, ale raczej w samym żubrze. Widoczną, małą siłę rozpłodową tych zwierząt i niezaprzeczalne ich zdegenerowanie, tłumaczy Büchner tem, że dobór płciowy odbywa się wśród kolonii coraz więcej ze sobą spokrewnionej. Także wielokrotnie skonstatowane chorobliwe anomalie na kończynach kości, potwierdzają to dostatecznie. Zupełnego wyginięcia żubra w białowieskiej puszczy należy według Büchnera oczekiwać w najbliższej przyszłości. Cały ten przebieg powolnego znikania litewskiego żubra przypomina uderzająco losy polskiego tura. I to zwierze, które już w XII wieku było chronione a w XVI wieku znajdowało się tylko w puszczy jaktorowskiej i tu troskliwej poddane było opiece, wyginęło bez ratunku z początkiem wieku XVII. Przyczyna była ta sama jak obecnie u żubrów. Ta przez Büchnera podana przyczyna wygasania żubra, zwierzęcia żyjącego w zupełnej wolności, służy także do wyjaśnienia przyczyny wyginięcia olbrzymich ssaków, w czasie dyluwialnym. Bezpośrednie działanie człowieka nie jest, jak to dotychczas sądzono, jedyną przyczyną zniknięcia z powierzchni ziemi niektórych gatunków zwierząt. W r. 1897 miano wykonać próbę odświeżenia krwi żubrów litewskich przez połączenie ich z podobnym gatunkiem zwierzyny, żyjącym na Kaukazie. W. ks. Jerzy Michajłowicz, który dzierżawił polowania na Kaukazie w tej okolicy, w której zwierzyna ta żyje, miał wydać polecenie złapania pewnej jej ilości i przewiezienia do Białegostoka. O wynikach próby i czy ona w ogóle wykonaną została, dotychczas nic nie wiadomo.

DROBNE OGŁOSZENIA.

(po $1\frac{1}{2}$ ct. od wyrazu).

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya: Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1. Redaktor odpowiedzialny: Edmund Kolbuszowski.
Z drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie — pod zarządem Z. Hałacińskiego.